

PAŁAC

Stara i nowa stolica

(cz.1)

SEBASTIAN JASZCZYŃSKI

Warszawa

Miasto zdeprawowane.

Miasto, którego szczerą dewizą brzmieć powinna: „Przemoc. Bezprawie. Deprecjacja. Defetyzm.”

Miasto, które już nic nie znaczy.

Miasto, które jest już co najwyżej cieniem samego siebie z przeszłości.

Miasto, którego mieszkańcy zatracili już wszelką nadzieję na poprawę swej tragicznej sytuacji.

A podobno to nadzieja, wzorem honorowego kapitana tonącego okrętu, umiera jako ostatnia...

Tak mówili wielcy filozofowie. Filozofowie minionych dziejów.

Z każdą łzą, która niespiesznie opuszczała służówki jej poczerwieniałych oczu, kolejny opancerzony pojazd wojskowy przemykał ulicą Marszałkowską. Dokładnie na tle słynnego placu Defilad i wyrastającego z jego podłoża monumentalnego Pałacu Kultury, przerastającego w pojedynkę wszystkie pozostałe warszawskie budynki.

Gdy przeszedł tuż obok niej żołnierz Ludowego Wojska Polskiego, ubrany w mundur wyraźnie nawiązujący do tradycji niegdysiejszych krasnoarmistów, roztaczając przy tym wokół siebie wyraźną, wręcz wgryzającą się w ścianki jej nozdrzy woń perfum, poczuła znacznie szybsze kołatanie serca.

A wojskowy nawet nie zwrócił na nią uwagi.

„Czymże jest moje życie?” - pomyślała. „Czymże jest, skoro składać się ma na nie wyłącznie strach?”

Jej dłoń w bezwolnym odruchu powędrowała ku spiętym na kucyk włosom, i odpięła je. A wyzwolone, wzburzone pasma zrzuciły swe dotychczasowe chomąto w postaci niewielkiej różowej spinki na pokryte niezawodną kostką brukową podłoże szerokiego chodnika.

Soldat zdążył już zniknąć - niczym kamień pod ciemnoniebieską taflą wody - pośród liczego tłumu przypadkowych osób. Uniemożliwiając tym samym wyłowienie go wzrokiem przez stojącą niemal centralnie naprzeciw rozległego placu Defilad młodą kobietę.

Pociągnęła nerwowo nosem.

Zmrużyła oczy.

Światło słoneczne odbiło się oślepiającą wiązką od przyciemnionej szyby przejeżdżającego samochodu, kończąc swój lot na osłoniętych przymkniętymi powiekami narządach wzroku kobiety.

Skierowała swe spojrzenie raz jeszcze na majaczącą w górze wieżę zegarową Pałacu Kultury i Nauki, która swymi czarnymi, potężnymi wskazówkami wskazywała teraz lustrzaną godzinę trzynastą trzynaście. Całkowicie zgodnie z panującym w Polsce czasem wschodnioeuropejskim.

„To nie jest prawdziwy świat” - przemknęło jej przez przełknięty umysł. „To nie może być prawdziwy świat!”

Świat z pozoru idealny. Świat niby to pełen harmonii.

A w rzeczywistości, w przecinanej na pół przez Wisłę Polsce, której oddalone od siebie granice, opierające się na rzekach, górach i nizinach, nawet nadzieja była już przeżytkiem zapomnianej przeszłości.

Nawet nadzieja...

Głośno załkała, nie zaskarbiając sobie tym niczyjej uwagi.

Spółeczeństwo przesiąknięte do szpiku kości obojętnością i biernością...

Ktoś trącił ją omyłkowo ramieniem, ktoś rzucił przekleństwem tuż obok jej ucha.

A kolejny żołnierz Wojska Polskiego, ubrany niemal identycznie, co jego poprzednik, idąc z przewieszonym przez ramię niemałych rozmiarów karabinem maszynowym rosyjskiej produkcji mruczał coś niezrozumiale pod nosem. I rozprowadzał wokół siebie nieodzowną, co najmniej rzecz nieprzyjemną aurę lęku, której nie kontaminował nawet groteskowy papierosek w kąciku ust.

Łódź

Miasto przyszłości.

Miasto rozwoju. Rozwoju w socjalistycznym, garściami czerpiącym z tradycji dawno minionej, złotej ery Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej duchu, któremu przyświecało wybitne indywiduum - Józef Stalin. Serdeczny człowiek, którego ust ciepły uśmiech nigdy nie zwykł opuszczać, nawet w chwilach poważnego zagrożenia dla dalszej swobodnej egzystencji narodu radzieckiego. To on stanowił oparcie dla swego ludu. To on zapewnił mu przetrwanie.

Wciskając w wyuczonych ściśle ruchach białe klawisze ekstrawaganckiego fortepianu, mężczyzna przymykał oczy, bezbrzeżnie oddając się prowadzącej go intuicji.

Gdyby wierzył w Boga, zapewne to w nim szukałby oparcia i sukursu dla pomyślnego wykonania dedykowanej samemu pierwszemu sekretarzowi pięknej symfonii.

A tak?

A tak powierzał swój los wyłącznie wrodzonej intuicji; to w niej pokładał całą nadzieję, iż ta nie postanowi w najgorszym możliwym momencie złośliwie podłożyć mu nogi i kapryśnie zaprowadzić go na manowce.

Przynajmniej ona była dla niego pewniejszym rozwiązaniem, niż mityczna istota, rzekomy kreator świata; rzekoma ostoja wyłącznego, przepastnego dobra, a mimo to tworząca przesiąknięty złem i bezprawiem świat.

Donośne dźwięki roznosiły się po rozległej, oświetlonej nastrojowym blaskiem sali koncertowej ogromnego stołecznego pałacu, wywołując wyraźny zachwyt na twarzach zgromadzonych tu tysięcy osób, które dyskretnie obserwował przez wpół przymknięte oczy. Szczególną uwagę poświęcając zatraconemu w bezbrzeżnej ekstazie pierwszemu sekretarzowi.

Wielu rzeczy nauczyć się można. Wiele rzeczy udawać można. Ale tak wielkiego, wylewającego się z człowieka niczym fale spienionego Bałtyku, nie znającego granic zachwytu - już nie.

I choćby nawet poświęciło się na ten cel wszystkie możliwe środki tego świata, to istnieją naturalne, nie dające się jakkolwiek ominąć, bariery.

Gdy nacisnął ostatni już klawisz, koncertowo odgiął się do tyłu, pozwalając, by sekundę po tym do jego uszu dotarły przesiąknięte entuzjazmem wzniosłe peany. A do tego gromkie, najdłuższe spośród tych, jakie na jego cześć były kiedykolwiek wznoszone, brawa.

Łapiąc z trudem oddech, nie potrafiąc jakkolwiek pohamować udzielającej się do głosu przeogromnej radości, mieszającej się nierozzerwalnie z przemożną ulgą, był nawet bardziej niż pewien, że świetlana przyszłość stanęła właśnie przed nim otworem.

A grzechem byłoby nie skorzystać z tak niepowtarzalnej wszak okazji... prawda?

Sebastian Jaszczyński
24 listopada 2023 roku